

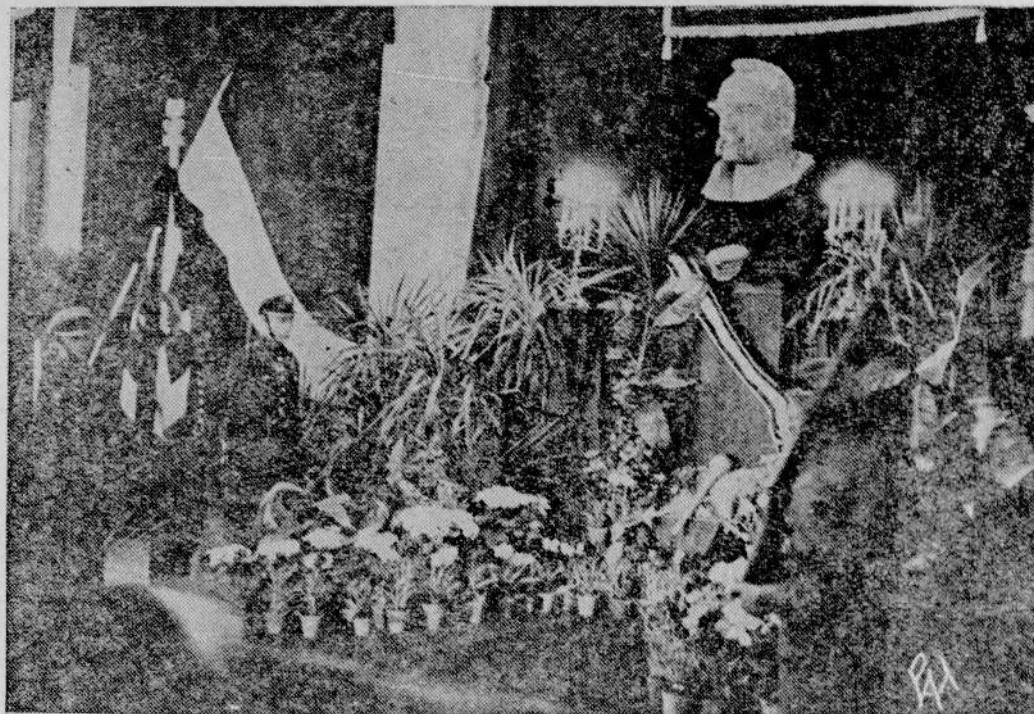
# OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 18

WĄBRZEŻNO, DNIA 9 MAJA 1936 ROKU

ROK 6



## Matka i serce Syna

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą  
I biedne serce moje spalą w aloesie  
I tej, która mi dała to serce, oddadzą...

Juljusz Słowacki.

Spełniła się ostatnia wola Józefa Piłsudskiego... W otoczeniu mogił żołnierskich, na cmentarzu na Rossie, pod ciężką, czarną płytą Mauzoleum spoczęły prochy Marji z Billewiczów Piłsudskiej, a u jej stóp serce Syna...

Na płycie napis. Prosty, najkrótszy, a przecież jakże wiele mówiący: Matka i Serce Syna.

Matce ofiarował Marszałek Piłsudski swe serce, Matce, która ukształtowała Jego duszę. Wpoila miłość bez granic do Ojczyzny, wskazywała drogę do wolności.

W 17-tym roku życia Marszałka — odeszła odeń Matka na zawsze, a przecież jak głęboko przykazania jej w duszę Mu zapadły, jaki zapal ofiarny i wolę mocy i nakaz walki potrafiła rozniecić w sercu Syna — okazał Józef Piłsudski całym swym życiem.

Snując wspomnienia swego dzieciństwa napisał Marszałek:

„Matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myślenia i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formowało się: tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem...”

I dalej:

„Matka nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania, owszem wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny...”

Przy drzwiach zamkniętych, żeby nikt obcy nie zobaczył i nie usłyszał, czytywała Marja Piłsudska swym starszym dzieciom zakazane, podniesione przez to do symbolu świętości — dzieła wieszczów.

Kończyła zaś zawsze słowami przepowiedni Zygmunta Krasińskiego: — „Będzie Polska w imię Pana”.

Takie to wspomnienia dzieciństwa taki obraz Matki towarzyszył całemu życiu Marszałka. Nawet z za gro-

bu wpływ Matki nie ustał. Bo — jak wyznał raz Marszałek Piłsudski:

„Gdy jestem w rozterce ze sobą, wtedy pytam siebie samego, jakby Matka kazała mi w tym wypadku postąpić i czynię to, co uważam za jej prawdopodobne zdanie, za jej wolę, już nie oglądając się na nic...”

W Wilnie „jednym z najpiękniejszych miast na świecie”, w Wilnie, o którym Marsz. mówił, że „wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieczętowane” — spoczęło na wieki serce Marszałka. Na Rossie, w otoczeniu mogił żołnierzy, co polegli za wspólną z Nim sprawę, w otoczeniu swoich żołnierzy, swoich chłopców, których tak Komendant ukochał — spoczęło Jego serce.

I spoczęło u stóp Tej, która Mu to serce nie tylko dała, ale rzuciła w nie pierwszy posiew miłości Ojczyzny, bohaterstwa i woli. Posiew, co tak wspaniale przyniósł plony — dał nam Ojczyznę wolną i potężną.

A wszystko to mówią krótkie, — proste słowa: Matka i Serce Syna...



## Marja łask wielkich

Było to w Jaśle.

W dzień świąteczny, po niesporach wybrał się starszy pan Gostwicki na wycieczkę, konno. Towarzyszył mu młody chłopak stajenny, Pietrek.

Czas był piękny, drogi dobre, więc jakżeż nie skorzystać, zwłaszcza, gdy się jest miłośnikiem konnej jazdy. Na koniu, zdawało się zawsze panu Gostwickiemu, że mu lat ubywa, a przybywa sił. Gdy dosiadł wierzchowca, gdy odczuł w sobie jego radosny poryw w przestrzeń, a poza sobą wśród świstu wiatru w uszach gdy usłyszał rzeźwiące tętno, wówczas unosił się, upajał, rozkoszował.

Tak było i teraz...

Gdy tylko znaleźli się poza miastem, w otwartym polu, pan puścił się tęgim klusem. Chłopak za nim.. Pan w galop, chłopak też, lecz koń jego lichszy, coraz bardziej zostawał w tyle, wierzchowiec zaś pański rwał jak wicher.

Pruje... sady... płynie wśród obłoków kurzu.

Biały pył uliczny, niby matowa gaza rozwija się, kłębi, faluje...

A z pod kopyt konia skrzą się iskry. Już pokazały się pierwsze chaty pobliskiej wsi. Już wypadałoby zwolnić nieco biegu, gdy nagle, niewiadomo dlaczego, czy gdzie szpilka była w siodle, czy wewnętrznych boleści rumak dostał, dość, że począł bić zadem, stawać dęba. Znak to, że chce zrzucić z siebie jeźdźca. Zeskoczył więc pan Gostwicki, ale tak nieszczęśliwie, że lewej nogi nie mógł wyrwać ze strzemion. Padł więc głową na ziemię, a koń porwał go i ciągnął za sobą. — Pan szarpie nogą, chce się uwolnić, a koń przestraszony bije tylnymi nogami w bok, podrzuca swym panem jak piłką, tłucze niemilosiernie, kaleczy i rani śmiertelnie.

Już krew go zalala! Lecz żyje jeszcze! Jeszcze przytomny, szarpie nogą... jeszcze... Wreszcie wyrwał ją i został na ziemi, a koń pobiegł w dal...

Śmierć zawisła w powietrzu. Zrobiła swoje.

Nadjechał Pietrek. Przybiegli ludzie ze wsi. Ratuja pana. Robią co mogą. Głowę mu podnieśli, obmyli twarz, ręce, nacierają puls, przygniatają lekko pierś. Na nic wszystko. Trup i trup. — Ani znaku życia.

Pietrek w płacz.

— O Jezul! co się to stało. Co ja teraz zrobię! — I klęknął tuż obok i lka boleśnie.

Naraz zobaczy szkaplerz na obnażonych piersiach pana...

— Szkaplerz... o, to on wpisany do Matki Boskiej Karmelitańskiej — a — to Ona go wyratuje.

I pochyla się nad panem, całuje szkaplerzną sukienkę Najświętszej Panny i prawie do ust poddaje panu to westchnienie: — Matko Boska Cudowna ratuj mnie!

Podaje raz, drugi, trzeci. Ludzie patrzają... Co z tego będzie? Cisza się zrobiła... a Pietrek, het powtarza: — Matko Boska Cudowna ratuj mnie.

I poruszyły się w tem wargi pańskie i wyszeptały cichusieńko: Matko Boska Cudowna, ratuj mnie.

Ludzi aż dreszcz przeszedł, a Pietrek znowu to samo...

I znowu pan powtórzył za nim. — Pietrek jeszcze, zawzięty w ufności aż do skutku.

I otworzył pan oczy — pełnia w nich błagania i prośby i podniósł ręce, złożył je jak do modlitwy i głośno zawołał:

— Ratuj mnie, ratuj!

Wróciło weń życie. Potęga i dobroć Marji wyswobodziła go z objęć śmierci.

Ludzie w płacz, w krzyk. Podnieceni, z niebywałą czułością wzięli pana na ręce. Każdy się ciśnie, każdy chce coś dopomóc, jakąś przysługę oddać, a wszyscy Najświętszą Pannienkę wielbią, wysławiają, podziwiają — jaka dobra, jaka litościwa, matka łask wielkich. Cud uczyniła!

— O Marjo! O Marjo!

I zanieśli pana do pierwszej chaty.

Pietrek ucieszony, dosiadł teraz konia i cwałem puścił się do miasta, by rodzinie pańskiej donieść o całym zajściu. Zanim wrócił, pan przyszedł zupełnie do siebie. Wstał, umył się, przebrał w czystą bieliznę, ofiarowaną mu przez gospodarzy, wdział ubranie wiejskie i płótniankę chłopską i ku ogólnej radości wyszedł przed dom, do ludzi, których tłumy zeszły się z całej wioski.

Już nie żył, już go docucić nie można było — przed chwilą dopiero i oto stoi zdrowy, silny. Jeszcze rany ma, guzy, sińce, a wesół, szczęśliwy, uśmiecha się i opowiada, jak to było, jak stracił przytomność i jak nagle obudził się z modlitwą na ustach do Królowej niebios. I pytał się, kto go ratował? Jak? A dowiedziawszy się o wszystkim, klęknął wzruszony, odsłonił pierś, ręką przycisnął szkaplerz do serca, potem go ucałował i wzniósłszy oczy w niebo rzekł:

— O Marjo, dzięki Ci.

— Dzięki Ci, dzięki — powtórzyły tłumy wśród płaczu i uniesienia.

Przyjechał wreszcie Pietrek z poyozem po pana. Przyjechał i młodszy pan Gostwicki i doktor. Strwożeni, niespokojni, pytają, co słyhać z pacjentem, a pacjent w wiejskiej sukmanie staje przed nimi i wita się radośnie.

— Miło mi, żeście przyjechali, tylko pana doktora niepotrzebnie fatygowano. Już zło minęło! Ta doktorka, na której prośby Wszechmoc Boga jest do usług. Niepokalana, Najłaskawsza, Najlepsza, Ona mię wyrwała z kleszczy śmiertelnych. Jedźmy więc! Lecz nie do domu! Nie! Najpierw do Niej, do Karmelitów\*) przed Cudowny Obraz złożyć Jej dzięki powinniśmy i musimy. I Wam wszystkim tu zebranym z całego serca dziękuję. Bóg zapłać! Bóg zapłać stokrotnie! Wy gospodarzu tej chaty jedźcie z nami; oddam wam zaraz bieliznę i ubranie. A Piotruś kochany weźmie mego konia, schwytanego winowajcę.

I pojechali...

\*) Dzisiaj Ojców Karmelitów w Jaśle nie ma, a Cudowny Obraz — statua jest w Tarnowcu.

## Ave Marja

Dzwonek kościelny gra —  
I sypie dźwięk perlisty  
Na pola mgłą zasłane  
Na wrzosów ametysty  
Na szarych skib połacie...  
Dzwonek kościelny gra  
Ave Maria...

Czasem w dźwięku coś lka,  
Coś żali się i płacze  
O tak — coś strasznie lka,  
To ludzki ból tak płacze.  
Ból.  
I rozpacze.  
I całe życie —  
Nędzne — tułacze  
Dusz miljonów...

Na dłoń starą zgrubiałą  
Sypią się lzy perliste,  
A usta szepcą wytrwale  
Modły gorące i czyste —  
Jako te lzy,  
Palce wciąż przesuwa  
Ziarenka różańcowe —  
I rozmodlone tłumy  
Schylają kornie głowę —  
Gdy dzwon kościelny gra  
Ave Maria...



# Lato na płótnie

(Bajka)

Chcecie wiedzieć kim jestem? Ha, cała moja potęga tkwi właśnie w tej tajemnicy! — Wam jednak zdradzę swój sekret. Jestem czarodziejem!

Odkryłem to dziś rano, — gdy wyszedłem na ulicę. Kapał drobny, natrętny deszczyk. Zimny wiatr dokuczał nielitościwie. Cóż to za lato, mój Boże. Przechodnie skurczeni, zmokli poowijani w płaszcze pędzili bez wytchnienia, nie rozglądając się wcale. Nikt się nie uśmiechał. Szli zgorzkniali, niechętni, źli, jakby jakaś wielka przykrość spadła na nich wszystkich już od rana. Żal było patrzeć.

Słońce nie pokazało się wcale. Szare chmury zawały niebo. A w końcu nawet i chmur nie można było odróżnić, przysłoniła wszystko brudna lepka mgła, ledwie zostało miejsca, by ludzie skurczeni poruszać się mogli po mokrej ziemi.

Doszedłem do pustego Placu bez nazwy. Na piasku nie baraszkowały dzieci. Niańki z wózkami dziś nie przyjechały. Gołe ławy ociekały wilgocią. Tylko w kącie pod murem jaśniała, jak codziennie płachta fotografa, i śmiała się do mnie wesołym krajobrazem jakichś dalekich, zamorskich krajów.

Otuliłem się płaszczem i przykucnąłem na ławie. Tak tylko na chwilę, bo nie warto przecież dłużej pozostać na pustym placu w deszczu i zimnie.

Od wesołej płachty oczu nie mogłem oderwać.

Świeciło tam słońce, gorące słońce na niebieskim bezchmurnym niebie. Smukła łódka czekała u brzegu cichego kanału. Po ścianie pałacu, ledwie widocznego w gęstwinie zieleni, pięły się pachnące róże. W krzakach ptaki czyniły nieopisany harmider.

I wówczas....

Nie wytrzymałem. — Otworzyłem szklane drzwi pałacu i po szerokich pełnych słońca schodach zszedłem nad kanał.

Białe labędzie nadpłynęły czempredziej i śpiewnym głosikiem poczęły prosić o słodkie ciasteczka.

Opróżniłem keszenie z ciastek i z placaka i strudli i sypałem labędziom pełnymi garściami.

One w podzęce wdzięczne wygięły swoje szyje i ofiarowały mi pomoc w przejażdżce po kanale.

Łódka, jak labędź gibka, trącała już moje stopy, prosząc bym wsiadł.

Z okna pałacu białowłosa księżniczka wiewała ku mnie chusteczką.

— Drogi wracaj najprędzej! Wnet podadzą podwieczorek!

Rozśpiewane labędzie złotymi tasiemkami pociągnęły łódkę na ciche wody.

Biały łuk mostu rozpięty nad kanałem, osypał nas deszczem pachnących róż i gradem purpurowych tulinianów. Oczy przymykały się od nadmiaru szczęścia.

Stokrotki i niezapominajki, na obu brzegach ustawione niby wojsko, w długie rzędy, kłaniały się nam wesoło.

Rybki wychylały się z wody, kiwały mokremi ogonami i każda z nich otwierała pyszczek by nam powiedzieć radosną nowinę.

— Cieszcie się! Słońce świeci, lato nie skończy się nigdy!

Nadpłynęły czerwone krokodyle. Z oczu ciekły im ogromne łzy.

To z uciechy, z uciechy! — śmiały się labędzie — płaczą niemądre — krokodyle. Poglaskaj je po grzbiecie łagodnie są jak baranki!

Żółta pomarańcza wiotkimi gałęzmi zagroziła nam drogę.

Spróbuj, spróbuj! — zachęcała troskliwie, soczyste owoce pchając mi w usta.

Nadleciały krzykliwe papugi, żółte kanarki i czupurne wróble. — W dzióbkach niosły słodkie maliny, truskawki, czereśnie wiśnie.

— I ode mnie, ode mnie! — wołały jeden przez drugiego, — bierz! bierz! bierz!

Spostrzegłem na szczęście bociana. Bocianie, bocianie, przynieś mi dzieci. Dużo dzieci! Sam nie dam rady tym słodkim malinom.

Wnet na obydwu brzegach zaszeleściło sitowie. Z zielonej ściany wynurzyły się bociany. Czarne i białe. Długimi nogami poważnie brodząc we wodzie, niosły mi roześmiane dzieciaki. Najmniejsze bachory, nieme jeszcze codopiero złowione w kanale płynęły na miękkich grzbietach perkozów. Usadzono je wokoło łódki na liściach nenufaru. Nad głową każdego zamiast parasolki motyle zawiesiły wodną złością i słodką jak plaster miodu — różę.

Nagle kanał się skończył. Po ogromnym wodospadzie łódka stoczyła się w dół.

— To mi jazda! — krzyczały rozdokazywane labędzie. — Nie trzeba

śniegu ani lodu, naszą ślizgawkę huczący wodospad!

Słońce świeciło niezmordowanie. Od gorąca dwie kropelki potu wypłynęły mi na czoło. W tej chwili wianek mew zawisnął nad łódką i białymi skrzydłami raz i drugi musnął powietrze. Powiał lekki wietrzyk. Natrętne kropelki potu znikły bezpowrotnie.

A tu już i ogromny wieloryb wynurzył się z wody. Z nozdrzy jego jego tryskała aż pod niebo potężna fontanna, rosząc dookoła wilgotny pyłek. O zbyt czystym upale nie mogło być mowy.

Białe niedźwiedzie zostawiły na brzegu niepotrzebne futra. W cienkich tylko sukienkach, plusk z uciechy. Kurki kaczki, perkozy witały je miło.

Ha! ha! kwa! Co za niezgrabiarze! Widać że chowały się na lodzie!

Albo te morsy! Kły mają długie, niby haki, a nie wiedzą, co z nimi zrobić. Hej panowie, lodu łamać tu nie trzeba! Zakopcie w mule swoje białe dzidy!

Wyśmiane morsy wstydliwie ruszały wąsikami, zasłaniając wargami zbyt długie kły.

— No, no, — odezwał się najodważniejszy — lodu u was niema, ale zato w całej pełni korzystacie ze śniegu, daru łaskawej Pani Zimy.

Mądra brunatno opalona czapla, na brzegu nieruchomo wygrzewająca się w słońcu, raczyła otworzyć dziób.

— Przypatrz się dobrane co za śnieg nigdy nie topnieje!

Pierwiosnki i sasanki białym płaszczem okryły przybieżną łąkę.

— Zobaczmy, kto ma najtwardszą głowę! — piszczały rozbawione zające, koziołkując po śnieżystym dywanie.

Krzaki obsypane pękatem kulami śniegu, huczały od świergotu ptaków.

— Nasze śnieżki nie ziębią! Łaska zimy nam niepotrzebna!

W górze orkiestra komarów grała cieniutko na cześć wiecznego lata, a żaby stoły już swe basy.

Żdała zablękitniało morze.

Zerwałem się z ławki. Nie zlorzezyłem już złej pogody, ani zimnemu, bezsłonecznemu południu. Ja potężny czarodziej, ze zwykłej płachty fotografa, moknacej pod murem w kącie w każdej chwili mogę sobie wy-czarować najgorętsze lato.

Spróbujcie może i wam się uda.

Józef Tumidalski



## JAK ODUCZYĆ KOTA OD ŁAPANIA PTAKÓW.

Kot jest miły, czysty pożyteczny, o ile łapie tylko myszy i szczury. — Ale jako drapieżnik z natury, lubi kot łapać ptaki, a nawet i ryby, a to już jest dla nas niepożądane. Szczególnie różne ptaszki owadożercze, pisklęta kuropatek i innych ptaków, a także i młode zające często padają ofiarą waleśających się po sadach i polach kotów. Przez myśliwych — więc i sadowników kot jest uważany za szkodnika i topiony, o ile zaczyna się żywić poza obrębem domu i budynków gospodarskich. Dlatego pożądanym jest sposób unieszkodliwienia kota w sadzie i w polu, dzięki czemu kot tem więcej będzie pożyteczny w domu. Rada jest prosta i łatwa do wykonania. Trzeba mianowicie uwiązać kotowi na mocnym sznurku tuż pod szyją niegrubą deszczulkę wielkości i kształtu karty do gry. Dziurkę na sznurek należy zrobić pośrodku krańcówki jednego z krótszych boków. — Kot z taką deszczulką dalej myszy i szczury chwycić może, lecz ptaków już nie, bo mu deszczulka nie pozwala wlażyć na drzewa. „Pedagogiczne” znaczenie deszczulki jest tak duże, że kot wkrótce odzwyczaja się wogóle od wlażenia na drzewa i łapania ptaków, a wysiłki swoje kieruje przeciwko domowym gryzoniom. Gdy to nastąpi, deszczulkę można kotowi odjąć, zachowując na wypadek, gdyby „Maciusiowi” znów się przypomniały ptaszki.

Są zagranicą gminy, gdzie koty z nakazu muszą być zaopatrzone w takie deszczulki.

## CO WOJTUŚ ZROBIŁ Z PIENIĄDZMI

Stryj wyjeżdżając, dał każdemu z czterech synówców po złotówce. W tydzień później ojciec rzekł do nich:

— Chciałbym też wiedzieć w jaki sposób użyliście pieniędzy, danych przez stryja.

— Kupiłem karmelków i zjadłem, ale poczęstowałem mamusię i braciszków — zawołał najmłodszy siedmioletni Staszek.

Ojciec uśmiechnął się.

— Ha w twoim wieku, to naturalne, że łakomstwo bierze górę nad rozsądkiem, ale nie powinieneś być wydawać całej złotówki na łakotki — odpowiedział.

— Tatusz wie, że zbieram pieniądze

na kupno pudełka Mecano, bo chciałbym budować maszyny, wrzuciłem więc złotówkę do skarbonki — rzekł dziewięcioletni Broniek.

— Roztropnie czynisz, chowając pieniądze do skarbonki, — pochwalił ojciec — będziesz mógł sam nabyć Mecano, którego ja nie jestem w stanie kupić. Teraz na ciebie kolej Janku.

— Kupiłem za złotówkę stalówek i odsprzedałem po wyższej cenie. W ten sposób zarobiłem 20 groszy, — triumfująco rzekł Janek.

— Nie wiedziałem, że taki z ciebie spekulant. Ha! prawdopodobnie dojdiesz kiedyś do majątku — odpowiedział, ale na jego twarzy nie było radości — A ty co zrobiłeś z pieniędzmi? — zapytał najstarszego syna, — trzynastoletniego Wojtusia.

Wojtuś zmieszał się, zaczerwienił i po chwili odrzekł nieśmiało:

— Mój kolega, Januszek, od miesiąca leży chory na nogę i długo jeszcze nie będzie mógł wstać z łóżka — Największa jego przyjemność to czytanie. Wczoraj były jego imieniny kupiłem mu więc „Zaklęty Młyn” — którego bardzo pragnął.

— Jak sądzicie dzieci, kto z was najlepiej użył pieniędzy, danych przez stryja? — zapytał ojciec, zwracając się do synów.

— Wojtuś! — chórem zawołali wszyscy trzej a ojciec go uściskał.



## ŁASKA BOSKA

Opowiadają, że pewien pan możny i bogaty pojął za żonę ubogą wieśniaczkę. Obdarzył ją dostatkiem, obdarył wielu darami, sprawił jej suknie bogate, ale rozkazał, aby służba co rano przynosiła jej dawne ubranie ubogie i zniszczone. Chciał bowiem, aby nigdy nie zapominała z jakiej nędzy wyniósł ją do obecnej chwały.

Podobnie i z nami uczynił Bóg: — nad zasługę i nad miarę obdarzył nas skarbami swej łaski. Za to wszystko żąda tylko od nas, abyśmy nie zapominali o naszej nędzy — przypominali sobie bezustannie, że wszystko co mamy dobrego, od Boga mamy.

Pamiętajmy, że sami ze siebie jesteśmy nędzni, ułomni i nadzy.

## Idzie Marja

Kwitną bzy już konwalije,  
I świat się weseli,  
A lilija kielich kryje,  
Idzie... Marja w bieli.

Idzie... cicha opasana,  
Wstęgą niewinności,  
Róża rosą czystą złana,  
Śmieje się z radości.

Narcyz główkę dumną skłonił,  
Fiołek woń rozlewa,  
Tulipan się zarumienił  
Aż serce porywa.

Każdy kwiatek się raduje,  
Drzewa całe w bieli,  
Skowroneczek wyśpiewuje,  
Wturują anieli.

Dzwonią leśne w lesie dzwonki,  
Biją w różne tony,  
A potężne drzew wierzchołki,  
Zgięły swe korony.

Wszystko bije swe ukłony,  
Chyli kornie czoła,  
Ave Marja... biją dzwony,  
Z kościółków dokoła.

Biją dzwony... a lud spieszy,  
Przed Marji ołtarze,  
Ave Marja serca cieszy,  
I rumieni twarze.

I pokornie chyli czoła,  
Jak kielich lilija,  
Ave, Ave, lud nasz woła,  
Ave Ci Maryja.

J. Kubikówna

## HUMOREK

### Sprytny.

Tatusiu, potrafiłbyś podpisać się mając oczy zamknięte?

— Ależ tak, Józiu!

— No to podpisz moją cenzurkę!

### Spryciarz

W czasie ćwiczeń polowych strzelec Dołęga przyniósł sobie z kuchni menażkę kawy. Jednak musi iść jeszcze po chleb, a bojąc się by mu kto smakowitej, gorącej kawy nie wypił, zostawia obok menażki kartkę z napisem: — „Do tej kawy naplułem”. Za chwilę powraca z chlebem i na kartce obok swego napisu znajduje drugi: „Ja też”.

### Najpewniejsza podróż.

Nauczyciel. Określ mi drogę, jaką byś obrał sobie jadąc do Brazylii.

Uczeń. Z Warszawy pojechałbym wprost do Hamburga; tam wsadłbym na okręt...

A dalej?

— Resztę pozostawiłbym już kapitanowi okrętu, który przecież lepiej zna drogę, aniżeli ja i pan profesor razem.